

Ambinanindrano, dnia 30 stycznia 1990 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Zaczął się dziesiąty rok mego pobytu na Madagaskarze, a ja mam już siódmy adres, ale proszę nie wpisywać go na czysto, tylko lekko ołówkiem, gdyż adres będzie aktualny do września. Potem przejadę przez Tamatawę i nowy adres ważny na dwa lata (od października 1990 r. do wakacji 1992 roku) podam później. Na razie nie jestem zupełnie pewny, czy zamieszkać w Wyższym Seminarium Duchownym imieniem papieża Pawła VI w Antsiranana, czyli w Diego Suarez.

Na razie wiem, że mistrz nowicjatu O. Jan przybyły na Madagaskar w naszej pierwszej grupie dnia 4 grudnia 1980 roku wkrótce (dnia 6 lutego) wyjeżdża z Madagaskaru na leczenie. Dwukrotny pobyt w szpitalach w końcu ubiegłego roku nie przyniósł pożądaných efektów. Ze swoimi parafianami w Ambinanindrano pożegnał się dnia 14 stycznia, a już dnia 15 stycznia był w Tamatawie i rozpoczął starania o potrzebne wizy.

I ja mam go tutaj zastąpić. Byłem przygotowany na taką ewentualność już w listopadzie, ale gdy nie doszła do mnie żadna informacja do początku grudnia, myślałem, że zdoła dotrzeć do września. Tymczasem cyklon uniemożliwił nam przejazd samochodem z Tamatawy do Mahanoro i nasza trójka mieszkająca w Tamatawie nie urządziła nawet opłatka. Kolację w Wigilię jadł każdy o innej porze ze względu na zajęcia. Nie byliśmy więc na zebraniu bożonarodzeniowym, na którym zdecydowano przedstawić mi trzy propozycje związane z nowicjatem i ja miałem zdecydować. Otrzymał list dnia piątego stycznia z Mahanoro wybrałem propozycję najlepszą dla mnie. W poniedziałek pojechałem jeszcze samochodem do Fianarantsoa nie tylko po to, aby skorzystać z nadarżającej się okazji, ale przede wszystkim, aby nie przebywać w domu podczas ostatniego tygodnia mego pobytu w Tamatawie. Nie lubię pożegnać tam, gdzie nie zawsze byłem rozumiany przez osoby, które powinny mi pomagać z obowiązku.

Fianarantsoa, stolica południowego Madagaskaru, wciąż żyje wspomnieniami Ojca Jana Beyzyma, którego szpital dla trędowatych funkcjonuje w odległości 4 km od Katedry. W czasie jednego z obiadów siedziałem przy stole Księdza Arcybiskupa (jakiś Polak tam musiał usiąść), który interesował się jego beatyfikacją i przez pół obiadu mówił tylko o tym przyszłym błogosławionym. Całe szczęście, że czytam polskie tygodniki, więc mogłem powiedzieć coś nowego. Ksiądz Arcybiskup był w Krakowie w 1987 r. i teraz dopytywał się o wydarzenia z ostatnich dwóch lat. Zresztą naszą misją interesuje się także dlatego, że z jego diecezji do Marolambo przyszli pierwsi misjonarze, chyba przed 65-70 laty. Ale też już więcej nie pojedą do grobu Ojca Beyzyma. Zazwyczaj trzeba spać w drodze, a piękne miasteczko w malowniczej kotlinie - Ambositra - jest jedynym znanym mi miejscem na całym Madagaskarze, gdzie jestem chory, tym razem już po godzinie pobytu. W Fianarantsoa zbyt późno zauważyliśmy wadę naszego land-rover'u i dopiero w czwartek wieczorem odebraliśmy samochód z warsztatu misyjnego przy Katedrze. Brat mechanik dziwił się niezmiernie, jak dojechaliśmy aż tak daleko, skoro oni nawet resztek pewnej części w krzyżaku wału napędowego nie mógł znaleźć. Z tego powodu 750 km przejechaliśmy w piątek w ciągu 19 godzin, wliczając w to czas na odprawienie Mszy Świętej, obiad w restauracji i kolację w rowie przy samochodzie. Do Tamatawy dojechaliśmy o godz. 23-ej.

W niedzielę pożegnałem się z parafianami w Analakinina, w poniedziałek pożegnany zostałem w szkołach. Brat Dyrektor Liceum okazał mi wielką życzliwość i poświęcenie, gdyż jechał ze stolicy w nocy (350 km zakrętów), aby być na apelu młodzieży. On przemówił 3 minuty, ja przemawiałem nie dłużej. Potem jeszcze starałem się o potwierdzenie upoważnień na odbiór paczek, listów i innych przesyłek adresowanych na mnie. Spakowałem się, krótko porozmawiałem z Ojcem Janem i we wtorek, dnia 16 stycznia, o godzinie 2,30 rano odwiózł

mnie Ojciec Henryk do Mahanoro, w środę pojechałem aż do Marolambo zostawiając po drodze moje bagaże i jedząc obiad w Ambinanindrano.

Marolambo się zmieniło. Już mieszkają Siostry Reparatrystki, czyli Siostry od Maryi Odkupicielki. Ich dom jest wykończony, sale dla młodzieży też. Pierwsza grupa dziewcząt w dniu 29 stycznia rozpoczyna naukę (szycia, gotowania, higieny, zajęć domowych itd). Na drzewach zasadzonych jeszcze przeze mnie są już owoce. Starsi parafianie niewiele się zmienili, pies jest ten sam. Po odpoczynku w sobotę, w niedzielę po Mszy Świętej powróciłem do Ambinanindrano i rozpakowałem swoje rzeczy i obejrzałem misję. Tu też jest dużo nowości.

Po raz pierwszy byłem tu podczas Wielkiego Tygodnia w roku 1981. Wtedy droga nie była najgorsza, skoro jechaliśmy z Mahanoro małym samochodem przez 5 godzin, zaś z powrotem po deszczu już 7 godzin, wliczając w to pół godziny drogi pieszej od misji do samochodu pozostawionego w pierwszej wiosce. Stary drewniany kościół był opuszczony i teraz po odremontowaniu służy za salę zebrań i przedstawień. Nowy kościół cementowy, ładny, zbudowany przez włoskiego misjonarza, Ojca Antonio Marchesi (zmarłego przed miesiącem podczas Pasterki w misji Anivorano) robi dobre wrażenie. Na szczycie pagórka stał dom ojców: drewniany, nadwyrężony przez cyklon, z przeciekającym dachem, z podłogami przypominającymi trampolinę. Obok stał drewniany dom stróża, który od naszego przybycia w 1981 r. jest kucharzem. Z powodu zmniejszającej się liczby księży w diecezji misja ta była opuszczona przez 7 lat i wtedy liczba wiosek, gdzie katolicy zbierali się na niedzielne modlitwy, spadła z 60 do 12. Potrzeba więc obecności księdza. Teraz jest 85 katolickich wspólnot.

Przed trzema laty rozpoczęły się budowy. Kucharz ma nowy dom drewniany zbudowany nieco dalej od domu ojców. Na miejscu domu kucharza stoi już nowy dom cementowy: biuro i trzy pokoje gościnne. Na razie wszyscy trzej misjonarze mieszkamy w tym domu, gdyż dawny drewniany dom ojców jest rozebrany, a nowy, niewykończony dom cementowy jest już pod dachem. Pisząc ten list widzę malarzy rozpoczynających upiększanie. Obiecują nam, że około Wielkanocy będzie się można tam wprowadzić. Po przeciwnej stronie (drugie ramię litery „U” o wydłużonej podstawie) są trzy pokoje dla nowicjatu, na razie w jednym z nich mamy naszą jadalnię i pokój rekreacyjny. Tam też się modlimy. Drugi pokój służy za sypialnię dla nowicjuszy, trzeci służy im za jadalnię i salkę. Prawie ukończono też duży magazyn z garażem, a przeniesiony drewniany dom będący kiedyś biurem służy za salkę-studium i tam też jest jedyny pokój gościnny. Na szczęście, droga od nas do Mahanoro (70 km) i do Marolambo (60 km) jest w lepszym stanie i land-rover'em całą można przejechać jednego dnia, jedząc obiad na naszej misji. Dzięki temu czasami mamy gości w porze obiadowej. Mimo wszystko, misjonarze nie podróżują często, a jeszcze rzadziej dla przyjemności. Żadna to przyjemność jechać naszymi drogami.

Od mego przyjazdu jeszcze nie padał deszcz, chociaż od tygodnia codziennie grzmi i błyska się po południu, wieczorem i w nocy. Podobno deszcz będzie padał od pełni księżyca - ja też to uznaję za prawdziwe po czteroletnich obserwacjach w Marolambo. A jesteśmy w porze wielkich deszczów i jeden deszcz wystarczy do napełnienia basenu o pojemności 4 m³ (woda spływa z dachu pokrywającego garaż). Na razie wodę wozimy traktorem. Wodę do picia i gotowania przynoszą nowicjusze ze strumyka, bo w rzece przepływającej obok kościoła woda jest niebezpieczna dla zdrowia. Mieszkańcy już to wypróbowali i w każdej wiosce wiedzą, skąd woda jest bezpieczna, można ją brać i nawet pić bez gotowania i bez filtrowania. My wodę filtrujemy tylko do picia, niefiltrowanej używamy do mycia (się) i gotowania. Sprzedając w naszym biurze lekarstwa widzę, że najczęściej przepisywanym lekiem są witaminy i trucizny na pasożyty żołądka, wątroby i jelit. My ten lek też bierzemy „profilaktycznie” przynajmniej raz na rok, bo każdy z nas „to” miał albo ma. Temperatura rano +22°C, w południe w cieniu +39-41°C, o godzinie 17-ej w słońcu termometr przy oknie mojego pokoju pokazuje codziennie ponad 50°C.

Niemal połowę moich listów otrzymują ofiarodawcy z Czechosłowacji i ten list też jest pisany z myślą o nich. Ja już raczej nie będę zaangażowany bezpośrednio w pracy misjonarskiej. Będę pracował w Nowicjacie do września, potem w Seminarium, dlatego proszę wysyłających paczki o adresowanie na Zgromadzenie, nie na moje imię. Umówiłem się, że podziękowanie (czyli potwierdzenie doręczenia) będzie wysyłał ten, kto otworzy przesyłkę. Ze swej strony

wszystkim dotychczasowym Ofiarodawcom składam serdeczne Bóg zapłać - sam poza modlitwą nie mogę się odwdziżyć. Rocznie otrzymywałem nawet do 185 paczek. Zawartość użyteczna dla nas, jak dotychczas: zabawki, gry, artykuły do haftowania itp. Siostram w szkole ogromną radość sprawiły małe koraliki do nawlekania. Widziałem 4-letnie dzieci wciąż nawlekające te koraliki według coraz to nowych wzorów. Zabawki powinny uczyć, stąd też cenne małe plastikowe układanki. Ja nie zaprzestaję (na razie) korespondencji i nadal odpowiadam na wszystkie listy, stąd pod listem podaję dwa adresy: dla korespondentów wysyłających listy bezpośrednio do mnie i dla dobroczyńców wysyłających paczki. Listy do mnie będą szły znacznie dłużej, gdyż od lotniska w Mahanoro są przewożone okazjnie, specjalnych samochodów pocztowych tu nie ma.

*Z serdecznym pozdrowieniem
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Przepraszam, że tak poważny temat poruszam w dopisku w miejsca przeznaczonym w moich listach na dowcip, ale nie widzę lepszego miejsca na rozwiązanie problemu kaczek dziennikarskich. Dziennikarze naprawdę nie kłamią! I mam na to dowód. Kiedy Ojciec Święty zatrzymał się przy nas w kościele na te 15 sekund, polscy dziennikarze byli przy pozostałych Polakach. Ja siedziałem drugi w ławce i jestem przekonany, że mówiliśmy tylko my i sekretarz Ojca Świętego. Siedzący jako trzeci, czyli za mną, albo obok mnie Oblat wiozł dziennikarzy do naszej misji w Mahanoro i podczas długiej podróży samochodem został zapytany, co nam powiedział Papież? Ten nie chcąc się przyznać, że nie wie, wymyślił, że Papież „pamięta Oblatów... bywał w Kodniu...” Dziennikarze więc nie kłamią, bo piszą tak, jak usłyszeli, więc zgodnie ze swoim sumieniem, chociaż nie zawsze zgodnie z rzeczywistością.